Nr. 23. We Lwowie dnia 4. czerwca 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Żywot Adama Mickiewicza.

podług zebranych przez siebie materjałów
oraz z własnych wspomnień opowiedział Władysław Mickiewicz.
Tom III. — W Poznaniu — 1894.

Rzecz — podług mnie — niewątpliwa, że bez współudziału Mickiewicza, bez wniesienia przezeń myśli socjalnej, nauka Towiańskiego nigdyby nie nabrała tego znaczenia, jakie przez czas pewny miała ona bądźcobądź. Promieniści przypominali czasy wileńskie i ulegali urokowi braterstwa, jakie ona zapowiadała i w życie wprowadzała. »Takiego braterstwa — pisał Feliks Wrotnowski do Ignacego Domejki — nigdyśmy dawniej nie kosztowali, takiego braterstwa ni ziemia, ni morza, ni lata rozdzielić nie mogą, bo w każdej chwili jedno żywe ogniwo obejmuje nasze dusze, bo z któregokolwiek punktu, przez jakiekolwiek ścieżki pójdą nasze uczucia, spotykamy się u wierzchołka jednej kolumny, postawionej przez Pana, aby unosząc się coraz wyżej, a podstawę swoją rozszerzając coraz bardziej, była nową, niepokalanie poczętą Ojczyzną dla Polaków, budową nowego porządku dla świata«. W Mickiewiczu tkwiła już silnie myśl socjalistyczna, która i dla naszych arystokratów i dla naszych demokratów wydawała się apostazją religijną i narodową, ale ona to właśnie zapalała młodzież francuską i, pomimo dziwacznych nieraz majaczeń naszego poety, postawiła go w szeregu najbardziej wpływowych profesorów. »Wykłady pp. Micheleta, Quineta i Mickiewicza — pisze Daniel Stern (hrabina d'Agout) - ożywiały tradycje republikańskie szkół, rozkrzewiały w młodzieży tradycje miłości dla ludu, niesmak dla martwości kościoła urzędowego i urzędowego społeczeństwa i przygotowywały w ten sposób połączenie uczącej się młodzieży z proletarjatem, co się miało objawić na barykadach«. Szkoda — powiadam — że p. Władysław Mickiewicz nie uwydatnił tej roli swego ojca. Wówczas zrozumielibyśmy lepiej, dla czego Mickiewicz w 1848 i 1849 r. wystąpił jako socjalista, chociaż i teraz okazuje się zupełnie mylnem twierdzenie, jakoby socjalizm naszego wieszcza był zjawiskiem efemerycznem. Przeciwnie już dzisiaj widzimy, że myśl socjalna Mickiewicza, która przejawiała się w jego artykułach politycznych 1833 r., wciąż się rozwijała i coraz silniej opanowywała całem jestestwem poety. Michał Chodźko opowiada, że poeta nosił się nawet z myślą przedstawienia w szacie poetycznej zrębów nowej budowy społecznej. Pan Władysław Mickiewicz jednak nic o tem nie wspomina.

Towianizm — jak się wyraziłem w »Historji ruchu społecznego w XIX. stul.« — miał drogę utorowaną przez saint-simonizm. Mówię o towianizmie, urobionym przez Mickiewicza. Dzisiaj jestem jeszcze mocniej o tem przekonany, po przeczytaniu drugiego tomu, w którym p. Władysław opowiedział o stosunkach ojca z jednym z byłych gorliwych wyznawców saint-simonizmu, Bohdanem Jańskim, i o założonym związku »Braci Zjednoczonych«. Saint-simonizm rozpadł się na liczne odmiany, ale wszystkie miały tę wspólność, że wyznaczały religji naczelne stanowisko i łączyły z nią myśl socjalną. Jedna z tych odmian była katolicka, Bucheza, której hołdował Stanisław Worcell. W jego i jego zwolenników przekonaniu — katolicyzm objawiał myśl powszechności, t. j. że wszystko istnieje dla wszystkich; lecz następnie hierarchja kościelna sprzeniewierzyła się tej myśli, a w obronie jej stanęli: Wiklef, Huss, Hieronim z Pragi; rewolucja francuska była zwrotem do powszechności, albowiem usiłowała odebrać indywiduom wszechwładztwo, a przywrócić je Społeczności*).

Na temże stanowisku stał Józef Ordęga, który w prawie kanonicznem widział dążności socjalistyczne. Rettel, spółpracownik Jańskiego przed kilku laty, następnie wyznawca towianizmu, z uznaniem pisał o poglądach Piotra Leroux, który przedstawiał także odmianę saint-simonizmu. Słowem, saint-simonizm, który wywarł tak potężny wpływ na umysłowość francuską, zaznaczył także swoje ślady w umysłach emigracji polskiej. Ganneau, który — podług p. Włady-

*) Str. 99. Lud Polski w Emigracji 1835—1846. Jersey.

sława — miał być znany Polakom, prawdopodobnie także czerpał swoje natchnienie z saintsimonizmu.

Około tego samego czasu, kiedy pojawił się Towiański, we Francji wystąpił jako prorok Vintras, mówiąc o potrzebie naprawy religji i sposobach zbawienia Francji. P. Władysław Mickiewicz powiada, że Vintrasa religijne pojęcia zbliżały się bardzo do nauki Towiańskiego. Vintras jednak nie wywarł wielkiego wpływu. I towianizm bez współudziału Mickiewicza, byłby drobną, małoznaczącą falą w ruchu naszym umysłowym. Wielu nawet uwierzyło w naukę Towiańskiego — jak to zapisał Aleksander Chodźko w swoich notatkach — jedynie tylko dla tego, że Mickiewicz uwierzył.

Mickiewicz rozpoczął swoje wykłady o literaturze słowiańskiej w dniu 22. grudnia 1840 roku. Towiański był po raz pierwszy u Mickiewicza 30. lipca 1841 r. Pierwszy więc kurs odbył się bez wpływu tego podniecenia mistycznego, w którem następnie nasz wieszcz pozostawał. Podniecenie to coraz bardziej przeistaczało katedrę naukową w kazalnicę kościelną, a tymczasem Towiański nalegał, ażeby Mickiewicz za tekst swoich wykładów wziął jego Biesiadę. Nie mogło to wychodzić na korzyść wykładom.

Pomimo to wszystko, wykłady Mickiewicza lepiej i dokładniej zapoznawały zachód europejski ze Słowianami, ich historją i literaturą, aniżeli uczone prelekcje Cybulskiego w Berlinie. Nigdy audytorjum jego nie świeciło takiemi pustkami, jakie widzimy dzisiaj na wykładach Leger'a, który z lekceważeniem mówi o uczoności wielkiego swego poprzednika.

Wcześnie zgasły młody i zdolny Szwajcar, Adolf Lèbre, który pod wpływem Mickiewicza, ukochał Słowiańszczyznę i zamierzał poświęcić się jej badaniu, pisał z zachwytem o prelekcjach naszego poety w »Revue des Deux-Mondes (15. grudnia 1843 r.) »Zwiedza się — pisał on — burzliwe sejmy polskie, Kremlin pełen tortur, chatę niewolnika, pałac magnata, skały Ilirji, lasy, milczące stepy, rozbrzmiewające brzękiem pszczół i śpiewem ptaków; przygląda się wielkim epokom Słowian, ich walkom z Azją, ich kłótniom wewnętrznym: ponad szczękiem wojennym słyszy się harmonijne głosy, śpiewy tryumfu i żałoby, następujące po sobie jak pieśni wielkiej epopeji narodowej: to poezja, łącząca wspaniałość Wschodu z energją Północy. P. Mickiewicz lepiej niż ktokolwiek podsłuchał tajemnicę ludów słowiańskich: nie dość że uchwycił ich fizjognomję, — dotarł aż do ich duszy«. »Wymowny poeta — pisał Lèbre w »Revue Suisse« (Lozanna, 1843) — rzucił nowe i żywe światło na przeszłość prawie nieznaną ludów słowiańskich; podniósł się do najwyższych pomysłów o ich przyszłości. Prelekcje jego nie mniej mają powabu dla filozofa, zajętego pytaniami socjalnemi i przeznaczeniem świata, jak dla słuchacza, którego subtelna ciekawość ciągnie ku literaturom równie bogatym, jak oryginalnym«.

Na wykłady Mickiewicza gromadziła się licznie młodzież francuska, zbierała się emigracja polska, przychodzili różni Słowianie. »Amfiteatr Mickiewicza — pisał Lucas — staje się punktem zbornym dla najróżniejszych znakomitości. Ampère, po własnym wykładzie, przychodzi jako dobrowolny słuchacz, zająć miejsce wśród uczniów i nie szczędzi profesorowi oznak szczerej i niedwuznacznej admiracji. Montalembert, Salvandy, Michelet, Sainte-Beuve, George Sand śpieszą w imieniu cywilizacji, objąć tę nową sferę myśli, którą uczony Polak odkrywa«.

Dr. Clavel w swojej »Statique sociale« przypominał w 1862 r. te czasy, w których biegł słuchać »porywających wykładów« Mickiewicza. »Profesor — pisze on — mówił nieco o literaturze Słowian, a wiele o ich nieszczęściach. Słuchacze powstrzymywali oddech. Naraz wygnańcy polscy powstawali jakby ruszeni sprężyną. Byli bladzi, łzy im spływały po długich wąsach. Podnosząc ręce wołali: Niech żyje Francja! a wszyscy Francuzi zrywali się z okrzykiem: Niech żyje Polska! Jeden jakiś ogromny Anglik siedział opodal w milczeniu, cisnąc oburącz kapelusz do piersi. Płakał jak inni. O! dobre to były czasy. W książce swojej o Michelet'cie i jego dzieciach (1878), Noel opisuje Mickiewicza, jak »stojąc z rękami wspartemi na lasce, pochylony naprzód, ze wzrokiem natchnionym, głosem wzruszonym i dźwięcznym, jakby wpatrzony w niebiańskie widzenie, wygłaszał często słowa najdoskonalszego rozsądku i znaczenia najbardziej praktycznego«. W oczach Noela miał on postać i majestat proroka. »Zdanie — powiada on — było czasem nie czysto francuskie, a akcent nie był nim nigdy, a przecież co za wymowa prawdziwa i wzruszająca!«

Wdzięczni jesteśmy panu Władysławowi Mickiewiczowi, że zgromadził liczne świadectwa cudzoziemców, które prostują nieraz uprzedzone i stronnicze sądy naszych krytyków.

B. L.

Stańczykowstwo teraz i przed stu laty.

(Dokończenie).

Mówiąc o stańczykach z przed stu laty, nie mamy wcale na myśli głośnych działaczy z czasów pierwszego rozbioru, stronników Targowicy, zaprzedańców sejmu Grodzieńskiego — jednem słowem większości ówczesnego magnactwa, a nawet całej szlachty naszej. Ci panowie nie byli wcale Polakami w teraźniejszem znaczeniu tego wyrazu, nawet do tego się nie przyznawali: nie można im tego brać za złe, bo było to wówczas powszechnem w Europie zjawiskiem. Skutkiem jezuickiego wychowania byli to najczystszej krwi kosmopolici: katolicy (bardzo niepewni) i szlachcice — nic więcej.

Wówczas w takich np. Włoszech każdy szlachcic tyle dbał o Ojczyznę, co o Chiny, bo jej właściwie nie miał, służył za pieniądze komubądź i gdziebądź, jak sławny podczas sejmu czteroletniego Lucchesini, jak Montecuculli, Coronini, jak później Pozzo di Borgo i najsławniejszy ze wszystkich, także korsykanin, włoski szlachcic Napoleon Buonaparte. W Niemczech było jeszcze gorzej, bo każdy tytułowany był osobnym panującym, i takie stanowisko szlachty niemieckiej było tym ideałem, do którego dążyła nasza magnaterja, dla którego sprzedała i siebie i kraj zdradzony.

Narodowość, o której gdzieindziej pojęcia nie miano (były tylko państwa) istniała jednak u nas, i temu tylko zawdzięczyć można, że cała szlachta nie poszła od razu za przykładem włoskiej i niemieckiej. Ale w pojęciach chaos był olbrzymi, i taki Poniński, Sułkowski, Branicki nie widzieli nic zdrożnego w zaciągnięciu się do służby innego państwa, podług przykładu ogromnej większości szlachty europejskiej. Nawet ks. Józef Poniatowski, późniejszy narodowy bohater, urodził się przed pierwszym rozbiorem kraju w Wiedniu i wyrósł w cesarsko-niemieckiej służbie.

Taki był nieunikniony skutek jezuickiego kosmopolityzmu i dopiero koniec XVIII. wieku wytworzył pierwsze zaczątki narodowości, jak ją dzisiaj pojmujemy na wzór Niderlandów, Anglji, Zjednoczonych Stanów Ameryki. Nasza Polska najłatwiej się do tego ruchu przyłączyła, bo nigdy w niej nie było nowomodnego państwa, bez wolności, bez narodowości, którego najjaskrawszym przykładem było wówczas nowoupieczone królestwo Pruskie. Że nawet teraz nie możemy się od tego szkodliwego pojęcia oswobodzić, najlepiej tego dowodzi Francja, gdzie chciano niby zniweczyć stary porządek rzeczy najgwałtowniejszym przewrotem: a jednak Jakobini przyczepili jedynie pojęcie narodu do absolutystycznego państwa, i po dziś dzień nie wiedzą nad Sekwaną co znaczy narodowość — z wielką szkodą dla całego świata: nic dziwnego, że tam właśnie musiał się wytworzyć kosmopolityczny, międzynarodowy socjalizm.

Skutkiem tego nowego ruchu powszechnego, zmieniła się w 1790 r. postać rzeczy. Dawnych możnowładzców, — którzy oddali np. w 1772 r. Galicję bez oporu cesarzowi niemieckiemu, bo taka zmiana panowania była wówczas dla nich zupełnie naturalną, tem bardziej, że cesarz był katolikiem — uważano już podczas sejmu czteroletniego za zdrajców, chociaż siebie za takich nie mieli, i ogromna większość szlachty wyparła się już hasła swoich poprzedników z czasów pierwszego rozbioru: »lepsza natychmiastowa niewola, niż kosztowna walka o niepodległość«. Ale moralna zgnilizna nie goi się tak prędko, i podczas ostatnich naszych walk przedrozbiorowych występuje już to, co dzisiaj nazywają stańczykowstwem, chociaż ówcześni stańczycy, o tyle szczerzy w swojem samolubstwie, o ile Szczęsny i Braniccy w swojem, nie doszli jeszcze do tego by zdradzać kraj — w imię patrjotyzmu.

Ówcześni stańczycy nie dbają już nawet o stare swoje tradycje — jeźli należą do szlachty — i gotowi je zaprzedać za byle jaką cenę, albo wylakierować zagranicznym tytułem; jeźli zaś należą do niższych stanów, dają nam najzupełniejszy pierwowzór teraźniejszego niby inteligentnego — nie powiemy wstecznictwa — ale niby zachowawczego oportunizmu.

Chcemy przedstawić czytelnikom jeden z tych przykładów, w osobie nieocenionego prezydenta stołecznego miasta Krakowa — z ramienia Targowicy — sławetnego prawnika i radnego, Filipa Lichockiego.

* * *

Pamiętniki tego wiekopomnego męża, opisujące najbardziej zajmujące ówczesne wypadki, mianowicie powstanie Kościuszkowskie w Krakowie, mają wszelkie cechy prawdziwości, chociaż niektórzy badacze o niej wątpią. Tak mógł pisać tylko ówczesny niby inteligent, wychowaniec »Alumnati Juris Fundationis«, dumny ze swojej bardzo niedostatecznej nauki, a pozbawiony, jak jego teraźniejsi spadkobiercy, wszelkiego uczucia moralnego. Co nas najbardziej

w nich uderza i zgadza się najzupełniej z teraźniejszymi stańczykowskimi poglądami, to zupełny brak konserwatyzmu, zachowawczości. Imć pan Lichocki konserwuje wprawdzie zawzięcie, ale rewolucją Targowicką, przy pomocy moskiewskiego pułkownika Łykoszyna, jak nasi konserwatyści chcą dzisiaj zachować jedynie to, co się im dostało przy pomocy zaborców. Odwołuje się wprawdzie do »praw odwiecznych«, na mocy których został obrany syndykiem, ale kto zna dzieje ówczesne, wie że jestto tylko fikcja; bo urzęduje przecież na mocy konfederacji Targowickiej i »prawa Konstytucji Grodzieńskiej«, które wcale odwiecznemi nie były: a później przyjmuje z całą lojalnością wojska Jmci cesarza niemieckiego, który chyba żadnych odwiecznych praw do Krakowa nie posiadał. Jestto zatem czysty rewolucjonista — ale z góry, i legł za to do grobu ozdobiony cesarskim złotym medalem.

Ta zabawna mięszanina rzekomego konserwatyzmu z rzeczywistem poddaniem się wszystkim przewrotom — byle dla niego korzystnym — jest ową zasadniczą stańczykowską cechą, ktora wszelkich podobnych ichmościów piętnuje. Powołuje się pan Lichocki np. na prawo Magdeburskie, na »Saxona«, jak mówi, przed nieokrzesanym rzeźnikiem, by się uwolnić od obowiązującej dla każdego mieszczanina, podług tego samego prawa, służby wojennej: ale nie cytuje mu artykułów z »Volumina Legum«, dobrze mu znanych, jako prawnikowi, podług których sam powinien dać gardło za zdradę stanu i pomaganie nieprzyjacielowi. Pierwsza cytata jest najwyraźniejszem oszukiwaniem prostego człowieka, bo z niej się wywodzi, że mieszczańskie pospolite ruszenie nie powinno być wyprowadzone w pole — ale że powinno miasta bronić i fortyfikacje starannie utrzymywać, o tem Pan Prezydent najzupełniej milczy. Kiedy go zaś przymuszono do wypełnienia, choć na jedną dobę, artykułów »Saxona« i zapędzono z łopatą na okopy, już ani praw ani konserwatyzmu nie ma: jest tylko oburzony samolub, który sobie »rękę od łopaty popsował«, potem »całą noc w bólach jęczał«, a wszystko dla »fantazji patrjotycznej« — szkoda, że rzeźniczek nie mógł mu zacytować innego artykułu »Saxona«, podług którego za usunięcie się od obowiązków, p. Lichocki traci prawo obywatelstwa i może nawet podążyć prosto — na szubienicę.

Tak przewrotna prywata byłaby oburzającą, gdyby nie była śmieszną: chociaż prawnik i inteligent, Imć Lichocki jest w gruncie rzeczy prostem zwierzęciem, do czego się też przyznaje z najzabawniejszą naiwnością. Składa rozmaite graty na ołtarzu ojczyzny, ale, jak powiada, »non tam libenter quam reverenter«, nie z miłości ale ze strachu, i widać, że jak zwykłe zwierzę, bez kija obejść się nie może: dla tego się też zupełnie uspokoił po trzecim rozbiorze, jak o tem świadczy jego nagrobek u kapucynów w Krakowie. Kubek w kubek teraźniejsi stańczycy, którzy popsowawszy sobie rączki dla »fantazji patrjotycznej« w 1863 roku, zatęsknili natychmiast do kijowego stanu rzeczy.

Ale byłoby zupełnie co innego, gdyby pan prezydent, tak łagodnie traktowany przez Kościuszkowskich »sankiulotów«, bo tylko usunięty chwilowo z magistratu, kiedy powinni go byli właściwie odesłać na rynek z nieszczęśliwym szpiegiem, księdzem Dziewońskim — nie miałby, jak sam powiada, schowanego trzosika u ks. Engielberta, przeora od św. Tomasza, a na mieście dwóch kamieniczek i dworku, świadczących o jego gorliwej magistrackiej służbie. Prawda że nie dorósł do tego chorążego krakowskiego, którego chwali jakiś jego potomek w stańczykowskiej »Bibljotece uniwersalnej« 1893. 2, 3, 4 i który, za Saskich czasów dochrapał się na bezpłatnym urzędzie aż czternastu wiosek w przeciągu kilkunastu lat: ale widać, że jeżeli wały Krakowa nader nędznie wyglądały, za to kieszenie magistrackie były w najlepszym stanie. Było więc co zachowywać, i nie dziw, że trudno było się oderwać od trzosika, od kamieniczek i dworku, ażeby biedz »jak szaleńcy i pijacy oślep z kijami i kosami na armaty strzelające« — strzelające — nota bene! — i »zapalać się do wojowania«.

Tchórzostwo występuje tu tak naiwnie, tak epicznie, jak u jakiegoś Sancza Pansy, że po za niem prawie nie widać obrzydliwej zbrodni, sprzedającej Ojczyznę za kilka złotych, i olbrzymiej głupoty, nie rozumiącej, że każdy Łykoszyn, von Elsner czy Benedek jeszcze łatwiej mu wydrze te »małe parta«, niż »Imć X. Kołłątaj, kanonik krakowski i podkanclerzy koronny, coraz sroższego Robespierra na siebie przybierający minę«, który przecież Imci Filipa Lichockiego nie ograbił. Bo jak każda niższa istota, szanowny prezydent więcej oburza się na małe niebezpieczeństwo, przy którem jeszcze piszczeć może, niż na wielkie, przy którem robak udaje martwego i zdaje się zupełnie na wolę Opatrzności.

Streszczając krótko i węzłowato szczere opowiadanie pana prezydenta, widać, że dbał wiele o siebie, służąc 24 lat miastu rodzinnemu, czyli — mówiąc ściślej — że nakradł sporo, i gotów był przyjąć nietylko Targowicę, nietylko cesarza niemieckiego, ale nawet Tureckiego sułtana i chińskiego bogdychana, byle mu pozwolili do śmierci używać płodów owej »gorliwej« służby. Miał przecie sumienie, bo skarży się, iż popełnił grzech wielki, nie mając czasu z powodu wypełniania rozkazów Rządu Narodowego, »być w kościele w święta wielkanocne« — ale że pomagał Łykoszynowi, zawziętemu wrogowi kościoła, że jeszcze w pamiętnikach miota oszczerstwa na Kościuszkę i Kołłątaja, że dorobił się majątku przy bardzo miernej płacy — to dla niego grzechem nie jest. Miał i honor, bo się

oburza, że »w te czasy każdy szewc, rzeźnik, siodlarz, rymarz, pijak i łajdak, był równy prezydencji« — a zaraz kłamie bezczelnie, że »życie prezydenta było w ręku takich ludzi«: jego szczęście, że nie tak było w istocie! Ale płaszczyć się przed Moskalem, katolikowi przed syzmatykiem, potem kadzić Prusakom i Niemcom, to jego honorowi nie ubliża. Smutne to warunki wśród których wyrabiają się tacy ludzie, i lepiej nie możemy określić przyczyn zjawiania się takich wyrodków, i wówczas i teraz, jak słowami samej wyroczni stańczykowskiego stronnictwa, ś. p. Józefa Szujskiego: »Pod takimi wpływami wyrodziła się w Polsce oryginalna dewocja, powszechna, żarliwa, namiętna, a przecież tak mało skutku w prywatnem i publicznem objawiająca życiu, dewocja, istniejąca w obec przekupstwa, niesprawiedliwości, rozpusty, krzywoprzysięstwa i gwałtów... Ona podtrzymywała lenistwo, bezmyślność, zapamiętałość i dawała się ostać szalonemu godłu: Polska nierządem stoi... Rehabilitować edukację jezuicką może tylko — głupstwo albo przewrotność, a jeżeli z pierwszem ucierać się nie warto, z drugą nie można«. (Dzieje Polski, 1866 str. 273, 360.)

Z Wystawy obrazów.

II.

Pokrewnym temu obrazowi w zaletach i wadach jest »Zjazd z Pragi« p. Ryszkiewicza. Artyście temu chodziło znowu o powtórzenie czysto kolorystyczne nastroju (Stimmung) wieczornego. Uderzyło go wrażenie ulicy, zasnutej mgłą wieczoru, więc postanowił wieczór ten odtworzyć. Całość jest tutaj również za szara i za monotonna w barwach, skutkiem czego obraz — mimo wszelkich malarskich zalet — jest cokolwiek nudny. Tak doświadczony na polu »Stimmungu« malarz jak Aleksan. Gierymski uznaje konieczność barwnych motywów i umie je zawsze w podobnych wypadkach wprowadzać, nie psując nimi ogólnego nastroju. Obraz — jak każde zresztą dzieło sztuki, musi mieć coś, bodaj szczegół, o jakiby się wzrok lub umysł mógł zaczepić; jeżeli jesteśmy na operze i nie słyszymy nic prócz szumu i huku instrumentów, to powiadamy sobie: »niech piorun spali taką muzykę« i idziemy spać do domu. Sztuka powinna zmysł estetyczny budzić, kołysać, ale nie nudzić, bo od tego są lwowskie zebrania faifoklokowe.

Najlepszą częścią w obrazie p. Ryszkiewicza jest siwy dorożkarski koń. Artysta ten czuje dobrze konia i to jest mocną stroną jego talentu. Ta apatycznie stojąca szkapa jest bardzo dobrze w charakterze przeprowadzona i dobrze się odróżnia od tła swoją lokalną barwą.

Jeżeli obraz Medovica, przedstawiający »Święto Bachusa«, ma być przynętą na wystawie dzieł sztuki, to na taką przynętę nie złapie się nikt, nawet z najbardziej zaczątkowem wykształceniem artystycznem.

Jest to praca, namalowa przez akademika ze śpiącą duszą, nie wyzwolonego jeszcze z powijaków akademickich prawideł. W całym obrazie, jak długi i szeroki, niema nigdzie odrębnej, indywidualnej inwencji. Wszędzie jest rutynka i szablonik, wszędzie są tylko praktycznie zastosowane akademickie doktryny i »sposobiki« i to od pierwszej lepszej namalowanej nogi do ogólnego skomponowania całości, do tych dwóch figur na pierwszym planie, które nic nie wyrażają i nie są organicznie z całością związane. Są one przytem za krótkie, słabo narysowane i służą jedynie jako »repousoir« dla podniesienia wartości jasnych plam na drugim planie. »Repousoir« jest to stary oklepany frazes malarski, który się jeszcze tłucze albo między bardzo starymi malarzami z czasów klasycyzmu, albo między bardzo młodymi, stojącymi na ściśle akademickim gruncie i tworzącymi według narzuconej normy, a nie pod presją swej własnej indywidualności. Z obrazu nie wieje ani odrobina temperamentu malarza, który go zrobił — nie ma ani jednej, już nie mówię figury, ale głowy żyjącej. Wszystko to są manekiny i modele, pozujące w pięknych efektownych ruchach i pokolorkowane za pomocą charakterystycznego monachijskiego pęzlowania. Malarz chciał przedstawić mord, lejącą się krew, całą grozę śmierci i równocześnie orgję rozpusty, a zrobił rzecz miejscami nieinteresującą, miejscami nudną, a miejscami śmieszną.

Siedzi cały szereg patrycjuszów rzymskich, którzy ani widzą mordu, ani upijają się rozkoszą, tylko gestykulują źle narysowanemi rękami, jak lalki na wystawie sklepowej. Gdzieindziej wlecze oprawca na śmierć jakiegoś niewolnika, który znowu niema czasu bronić się, bo musi w całej figurze utrzymywać piękną i płynną linję. Orgję reprezentuje młodzieniec, bawiący się z dziewczyną, której połowy brakuje. Zabitemu starcowi wyrasta lewa noga z prawego biodra, a lutnistka z lewej strony na pierwszym planie giestykuluje nie swoją ręką.

Jeżeli dyletantka namaluje słabo studjum, które nie będzie miało pretensji, wówczas można się z niem zgodzić, ale jeżeli malarz na jednem płótnie wymaluje kupę pretensji, a nie da ani jednej zalety artystycznej, to powiadamy, że obraz jest o tyle słaby, że można nad nim przejść do porządku.

Z kilku prac p. Łasińskiego Stanisława najlepszym jest mały obrazek, zatytułowany

»Ognisko«. I w tym jednak uderza nas przeforsowanie w kolorze, w barwach niebieskich i fiołkowych. Motyw podobnego rodzaju może być kolorystycznym w naturze, ale ta kolorystyczność jest niesłychanie subtelnie stopioną w całości — jest akordem.

W obrazku p. Łasińskiego niema akordu, ale jeden ton, jakiś silnie niebieski. Inne obrazki tegoż artysty jak: »W chałupie«, lub »Smutna wiadomość«, są słabo rysowane, słabe w kolorze i, jak zwłaszcza pierwszy, kulejące mocno na puncie perspektywicznego wykreślenia. Ogólnie rzecz biorąc, nie uderza nas tutaj nic, coby mówiło o talencie czy to ze stanowiska czysto malarskiego linji i barwy, czy ze stanowiska obserwacji momentu.

Obraz Strojnowskiego p. t. »Od chorego« jest słabo namalowany i rysowany, a p. Krzyształowicza »W kaźni«, licho rysowany, ale obaj ci malarze w tych obrazach służą sztuce uczciwie i nie mają nic wspólnego z kiczarstwem, dlatego warci są, aby się im przyjrzeć.

Obraz Strojnowskiego jest komponowany mozolnie, po akademicku; malarz miał na uwadze temat i do niego układał ruchy figur, a nie potrafił sobie przedstawić w umyśle całokształtu momentu. Dlatego nie mamy tutaj scharakteryzowanego ruchu ulicznego, ale norymberski sklep. Jest drwal, jest chłopka, są druciarze, w dali stoi pani z panienką, tu znowu klęczy kucharka ze sprawunkami, jest i pies — najlepszą z figur, jest służąca pompująca wodę. Tło kuleje na punkcie wykreślenia perspektywicznego.

Całość jest malowana jednako: ubrania, kamienice, niebo, wyglądają jak z jednej materji — z waty.

P. Krzyształowicza obrazek »W kaźni« jest, jak powiedziano wyżej, bardzo słabo rysowany, ale ma zalety kolorystyczne. Dobrze namalowaną jest podłoga z fiołkowemi światłami i pryczą z deszczek; dobrze odczutą jest jasna, światłem zalana izba, to samo da się powiedzieć o głowach i rękach w barwnych plamach. W pracach obydwuch wyż wspomnianych artystów, zwłaszcza p. Strojnowskiego, uderza brak temperamentu artystycznego, pewna, jeżeli się tak można wyrazić, ślamazarność.

Na odwrotnym do nich biegunie stoi p. Stasiak ze swoim ruchliwym talentem, rzucaniem się na wszystko, co można malarskimi środkami wyrazić. Jest to zaletą, z drugiej jednak strony widzimy coraz bardziej w jego obrazach szablon co do pojęcia rzeczy i szablon w czysto technicznem przeprowadzeniu. Temperament malarza odbija się zawsze nietylko w skomponowaniu obrazu, ale zarówno w każdej barwnej plamie, w każdej położonej linji. Dowodzi nam tego zwłaszcza obraz p. Stasiaka »W poprzek drogi«. Jest to jedna z tych scen silnych, w jakich się tenże artysta szczególniej lubuje. W kościele stanął orszak ślubny, pan młody zbliża się z oblubienicą do ołtarza, gdy nagle wysuwa się mu w poprzek drogi — dziewczyna z dzieckiem na ręku. Temat ten można było w wyrazie i charakterze wyzyskać, p. Stasiak dał nam jednak w tym kierunku rzecz bladą, barbarzyńską w barwach i linjach.

Najlepszą częścią obrazu jest dziewczyna z dzieckiem, reszta z panem młodym na czele to manekiny i modele.

Obrazy p. Stasiaka denerwują, tutaj każdy szczegół już nawet nie krzyczy ale wyje, rzuca się w oczy, przygnębia, a nie koi i nie kołysze. Obrazy tego artysty, mimo całej nawałnicy barw i wrzeszczących kolorów, odznaczają się w wysokim stopniu brakiem poczucia kolorystyczności, co można zwłaszcza zauważyć w jego pejzażach księżycowych, które są prawie całkowicie jedną farbą malowane. Tak szacowny przymiot, jak ruchliwy temperament, zabija p. S. pobieżnością, brakiem sumiennych studjów, manierą, szablonem.

Jan Zawada.

NA DOŻYWOCIU.

SZKIC

Gabrjeli Preissowej.

Dalszy ciąg.

— I owszem dziadku, jeżeli tak chcecie — zgodziło się posłusznie dziewczątko — więc w takim razie wy będziecie mieli trzy i ja trzy.

Wyminkarz przyjął z wymuszonym uśmiechem swoją część i położył ją na półce, myśląc w duchu, że pewnego pięknego dnia zwróci wnuczce ten przysmaczek. Dorcia tymczasem rozglądała się po ubogiej izdebce.

— Jak tu zimno — pomyślała, lecz głośno nie zrobiła tej uwagi, czując dobrem serduszkiem, że trzeba mówić o czemś innem, weselszem.

— Wiecie dziadku, że w izbie za oknem zmarzł nam majeranek?

— Nie, nie wiedziałem.

— Ba, całkiem już zmarniał. A ten różaniec — mówiła dalej dziewczynka, wskazując pożółkły, w czarną ramkę oprawny obrazek św. Wandalina. na którym się zwieszały białe paciorki — ten różaniec macie zapewne po nieboszczce babuni?

— Tak, a po mnie ty go odziedziczysz, Dorciu; babka twoja zanosiła go aż do Hostyna, gdzie był dwukrotnie przez samego biskupa poświęcony.

— Babcia niańczyła mię i miała o mnie zawsze staranie, nieprawdaż? — pytała dalej wnuczka.

— Pamiętasz ją?

— Oh nie, ale matula wspominali onegdaj; mówili, że z babuni był jeszcze jaki taki pożytek, a że — a —

— A że ja jestem do niczego — dokończył domyślnie wyminkarz. — A jednak — pomimo siedmdziesięciu dwóch lat — potrafiłbym nie jedną jeszcze robotę wykonać, gdyby mię od każdej nie ousuwano.

— Ale skoro tylko doczekacie lata dziadku — szczebiotała mała pocieszycielka — pójdziecie do winnicy i w pole.

— Zrobią tam wszystko, co będzie trzeba, syn i Frycek; ja się im na nic nie przydam, nadaremnieby się tylko ze mną kłócili. Ach, ach!

— Dla czego dziadku, tak smutnie wzdychacie?

— Tak sobie.

— Wszak to dziś wigilja, przypomniała Dorcia w formie pociechy.

— A tak, wigilja — a ja nie mam nic na gwiazdkę dla ciebie; to bardzo źle.

— Dla czegożby miało być źle — wszak ja się o nic nie upominam. A w zeszłym roku darowaliście mi jeszcze zieloną wstążeczkę do warkocza. Mam ją dotąd i jutro wezmę do kościoła.

Dziadek zamyślił się.

— Jutro — ciągnęła dalej z żywością Dorotka — wpierw nim pójdziemy z Lojzką Zbadalówną do kościoła, zaśpiewamy z nią razem dla »pani mamy« Zbadalki piosenkę. Natomiast ona poczęstuje nas — podobnie jak w roku zeszłym — strudlem, jabłkami i orzechami. Wszystkiem, co tylko dostanę, podzielę się z wami, dziadku. Nie będziemy wszakże śpiewały zeszłorocznej kolendy, tylko zgoła inną — taką oto:

„Strunka, strunka
zielona jabłonka,
siedzieli pod nią dwaj pastuszkowie,
jedli kaszę z garnka.
Anioł ku nim przyleciał,
i hej, im powiedział,
że się Pan Jezus narodził,
aby każdy wiedział".

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Piękna kolenda, nieprawdaż, dziaduniu?

— Piękna, ani słowa — przytwierdził wyminkarz, lecz w tej-że chwili uderzony nagłą myślą, zerwał się z ławki tak raźnie, jak gdyby był jeszcze młodym parobczakiem.

— Ależ Dorciu — zawołał na głos — wszak i w tym roku mogę ci kupić coś na gwiazdkę! Powiedz tylko, cobyś mieć pragnęła? Zapewne znowu jaką czerwoną lub niebieską wstążeczką, co?

Dziewczątko patrzyło przez chwilę w milczeniu na kerpcie dziadka, poczem podnosząc roztropne oczęta, zapytało poważnie:

— A skądżebyście pieniędzy wzięli?

— Ho, ho, jakaś mądra! — zaśmiał się wyminkarz. — Ależ stać mię jeszcze na tyle, powiedz więc otwarcie, cobyś mieć chciała?

— Albo ja wiem? — zaczęła szczerze Dorka — choć, co prawda, najbardziejbym się cieszyła z takiego pierścionka o czerwonem oczku, jaki ma Lojzka Zbadalówna. Ale takich pięknych nie noszą wędrowni kramarze; dostać je można chyba na pielgrzymce albo też w Wyhoniu. Ach, jakbym rada mieć taki pierścionek! — mówiła z westchnieniem dalej nieodrodna córka Ewy — Lojzka nie może się nim dość nachlubić, wygląda bowiem jak szczerozłoty.

— A więc zaczekajmy do pielgrzymki — zaśmiał się dziadek jakoś figlarnie.

— Zaczekam, ma się rozumieć. A teraz muszę już iść: będę mak tłukła na makowe mleko i pomagała mamie we wszystkiem innem. Wieczorem zaś moglibyście, dziaduniu w izbie powieczerzać; oniby się nie gniewali, a wam byłoby weselej.

— Nie przestąpię ich progu dopóki życia! — odparł wyminkarz stłumionym głosem — a Dorcia, święcie wierząc, że dziadek ma zawsze słuszność, nie próbowała dłużej nalegać.

— Więc w takim razie przyniosę wam tutaj wszystkiego i sama z wami zostanę przez cały czas — rozstrzygnęła po krótkim namyśle, żegnając lekkiem westchnieniem wszystkie przyjemności, jakich się tego dnia spodziewała: towarzystwo Tomka i Alojzki Zbadalowych, którzy obiecali wstąpić wieczorem do Kluczków, grę w ziarka harbuzowe, rozmaite figle i śpiewy.

Wyminkarz zrozumiał wielkość jej ofiary, a gdy drzwi zamknęły się za dziewczynką, zdawało mu się, że cała nędzna jego izdebka westchnęła z tęsknoty za ciepłem jej serduszkiem.

I po raz drugi tego rana zbliżył się dziadek Kluczka do okna, aby zobaczyć co się na dworze dzieje.

Słota nie ustawała, nic to jednak nie znaczy, on musi wyjść z domu w niecierpiącej zwłoki sprawie. Nie wahał się dłużej. Wdział najpierw buty, z kuferka, który się mieścił między łóżkiem a piecem, wyjął kapelusz o szerokich skrzydłach, a wsunąwszy go na jako tako przygładzone ręką włosy, ujął kij w prawicę i gotów już był całkiem do drogi.

W sionce spotkał się z gospodarzem, który widząc ojca, zwykł był udawać, że nikogo nie widzi. Wyminkarz zaciął usta i skierował się prostą, jak sierpem rzucił, drogę ku niedalekiej gospodzie.

— Daj Boże szczęśliwy, dobry dzień — pozdrowił wstępując do szynkowni, świecącej, świeżo wyszorowaną podłogą i całkiem tego dnia pustej.

— Daj-że to Boże — odpowiedziała szynkarka, sięgając zarazem ku szafce po kieliszek Kluczki ze szlifowanego szkła.

— Nie nalewajcie, pani matko — zawołał pośpiesznie wyminkarz — przyszedłem dziś do was w całkiem innej sprawie.

— W jakiej-że to? — zagadnęła ciekawie szynkarka.

— Czy wasz »pan tata« w domu?

— Niema go; pojechał do Wyhonia po piwo na święta.

— Do Wyhonia! toż dopiero fatalny zbieg okoliczności! — mruknął Kluczka — I dawno odjechał?

— Dopiero co, może przed kwadransem.

— Jak wybornie mógłbym był dostać się z nim razem do miasta — szkoda!

— Czy macie tam jaki interes?

— Ba! Trudna wszakże rada, powędruję piechotą. A do was wstąpiłem pani mamo ciągnął dalej niepewnym głosem — z zapytaniem czy nie zechciałby wasz pan tata pożyczyć mi trzydziestu centów? Spłaciłbym dług nie przychodząc przez tyle dni, ile za to wypadnie, po gorzałkę i tytoń.

Szynkarka zmierzyła starego zdziwionym — a jemu się zdało, że zarazem i lodowatym wzrokiem.

— Nie mogę zadość uczynić bez męża waszej prośbie — odparła sucho.

— A dla czegożbyście nie mogli — wszak jeszcze wart jestem trzech szóstek, a w zamian za pieniądze zatrzymacie sobie gorzałkę i tytoń przez tyle dni, przez ile należeć się będzie.

— I tak dość już mamy przykrości, że tak długo je od nas bierzecie — wybuchnęła nagle kobieta — a co się tyczy pieniędzy, tych nie będziemy wam zgoła dawali.

Wyminkarz odwrócił się od mówiącej.

— Zostańcie z Bogiem — wykrztusił z trudnością, nie chcąc aby spostrzegła, jak bardzo czuje się upokorzony, jak twarz mu pali rumieniec wstydu, jak płoną oczy. — Sam nie wiedział jak się znalazł na dworze. Wracał do domu z niewysłowioną w sercu goryczą i przygnębieniem. A gdy przestąpił próg zimnej izdebki i osunął się na ławę, przyszła mu znowu na myśl Dorcia. Widział ją stojącą przed sobą z wyciągniętym paluszkiem, błyszczącemi oczkami i opowiadającą, jak wyglądał przedmiot jej marzeń: pierścionek z czerwonem oczkiem. Z jaką radością byłby jej zrobił tę przyjemność, jak skwapliwie byłby pośpieszył, pomimo zimowej pory do dalekiego miasta, gdyby tylko miał owe trzy szóstki! Szynkarka zepsuła mu pięknie ułożony plan, i cóż miał teraz począć?...

Nagle zerwał się z miejsca śpieszniej jeszcze; niż za pierwszym razem i znowu wybiegł z domu. Szedł bystrym krokiem przed siebie, a mijając gospodę, nie omieszkał zmierzyć ją pogardliwym wzrokiem.

W kilka minut później znalazł się już u celu ponownej swej wycieczki. Nadzieja przywiodła go teraz do ubogiej, skrzywionej chałupki. Przez nizkie jej drzwi dostał się do sionki, zarzuconej ośnieżonemi gałęźmi brzozowemi, a stamtąd do izby.

C. d. n.

Przegląd pism.

»Ateneum«. — Maj. — 1894.

Z krótkiej rozprawki p. t. »Anarchizm i logika«, która rozpoczyna majowy zeszyt »Ateneum«, bardzo mało dowiadujemy się o anarchizmie, tym, bądź co bądź, pod każdym względem ciekawym objawie współczesnego życia społecznego, logiki zaś w niej mniej jeszcze.

P. Kraushaar, który zasłużył się historji polskiej odkryciem niejednego cennego rękopiśmiennego zabytku, w artykule p. t. »Frank i Frankiści« przebiega pokrótce dotychczasową literaturę, dotyczącą tego przedmiotu i, wskazując na jej braki, zapowiada własną w tej materji pracę, do której omawiany artykuł jest wstępem tylko, opartą na źródłach archiwalnych i rękopiśmiennych, głównie zaś na t. zw. »Biblji bałamutnej«. Obszerny ten rękopis, odnaleziony przez p. K. w zbiorach hr. Konstantego Przeździeckiego »obejmuje w szeregu fragmentów całokształt nauki Franka, w przypowieściach, parabolach, onomatopeach i metaforach, spisany i ułożony przez niewiadomego nazwiska przybocznego sekretarza Franka, sposobem niemal stenograficznym«. W innym zbiorze rękopisów odszukał autor jeszcze 4 zabytki rękopiśmienne, uzupełniające ów spadek po Franku.

Materjały powyższe, wraz z innemi źródłami, z których autor korzystać zamierza, niewątpliwie uczynią zapowiedzianą pracę p. K. bardzo interesującą i cenną.

Niedawno zmarły Józef Bliziński jest przedmiotem życiorysu, skreślonego przez p. Ad. Dobrowolskiego, na podstawie notat, spisanych przez autora jeszcze za życia ś. p. Blizińskiego i na podstawie jego własnych opowiadań.

P. B. Jaroszewska pisze o słynnym podróżniku Beniowskim, z powodu nowej o nim pracy dr. Jankó, w języku węgierskim.

Dr. Trepka zaznajamia nas z kwestją reformy izby lordów w Anglji.

Nowe studjum Gostomskiego nad »Panem Tadeuszem« jest przedmiotem oceny krytycznej P. Chmielowskiego.

Resztę zeszytu składają: dalszy ciąg powieści Komara p. t. »Siostry Malinowskie«, poezje Tetmajera »Z Tatr«, zwykłe działy: sprawozdawczy i bibljograficzny oraz kroniki: miesięczna i przyrodnicza.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.